

„Zmurzynienie” Ameryki



Ostatnio w pewnej gazecie została opublikowana notka, w której na podstawie wyliczeń doszło się do wniosku, że około roku 1970 Murzyni będą stanowić połowę mieszkańców nowojorskiego Manhattanu, a w pięciu okręgach, tworzących Nowy Jork, 28% ludności będzie składać się z kolorowych. Te tendencje są widoczne również w innych miastach Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy świadkami zmurzynienia, metyzacja i upadek rasy białej, cofającej się przed naporem ras niższych, cechujących się wielkim przyrostem naturalnym.

Jasne, że z punktu widzenia demokracji w takim procesie nie ma nic złego, ba, nawet jest czymś dobrym. Szeroko znane są gorliwość i pryncypialność zwolenników „integracji rasowej”, którzy swoimi działaniami przyspieszają ten proces. Nie ograniczają się oni do dążenia do pełnego mieszania się ras w sferze publicznej i postulatu prawa Murzynów do zajmowania dowolnego publicznego lub politycznego stanowiska (co pozwala przypuszczać, że za jakiś czas zobaczymy Murzyna w fotelu amerykańskiego prezydenta), ale też nie mają nic przeciwko temu, by Murzyni mieszaali swoją krew z krwią ludów białych. Doskonałym wzorem tego jest słuchowisko „Głębokie korzenie” (ma się na myśli korzenie „uprzedzeń” rasowych), które z nieznanых przyczyn radio włoskie zdecydowało powtarzać kilka razy.

Znany jest fakt, że zwolennicy „integracji”, którzy wywodzą swoje do cna logiczne, a zarazem do cna błędne wnioski z dogmatów demokracji egalitarnej, na cały głos krzycząc o „wolności” propagują system najbardziej okrutnej opresji.

Wiadomo również, że osobne grupy stanowią jeszcze opór, nie mając zamiaru ustępować pola wzrostowi rasy czarnej i zmurzynieniu swojego kraju. Szczególnie mocny jest ten opór w stanach południowych. Problem z tym oporem polega na tym, że dostrzega on tylko materialne, namacalne aspekty, nie rozumiejąc prawdziwych rozmiarów tego zagadnienia. Nie zdaje sobie sprawy z tego, jak mocno Ameryka „zmurzyniała” nie tylko w aspekcie rasowo-demograficznym, ale przede wszystkim pod względem kulturowym i cywilizacyjnym; jak mocno „poczerniała” w swoich gustach i obyczajach nawet w tych obszarach, w których nie obserwujemy bezpośredniego mieszania się ras.

Nie przypadkowo Ameryka jest nazywana tygłem narodów. W istocie Ameryka jest jednym z tych przypadków, kiedy z bardzo zróżnicowanego materiału tworzy się typ ludzki, posiadający jednolite cechy stałe. Emigracja przedstawicieli różnych ludów do USA kończy się zawsze tak samo: poza nielicznymi wyjątkami, większość z nich po dwóch pokoleniach traci swoje cechy pierwotne i reprodukuje mniej więcej jednolity z punktu widzenia myślenia, percepcji i zachowania typ – typ jankeski.

W tym przypadku teorie, sformułowane przez Frobeniusa czy Spenglera, według których istnieje więź pomiędzy formą cywilizacji a strukturą „duszy”, która kształtuje się przez środowisko naturalne, krajobraz oraz ludność rdzenną, wydają się nie na miejscu. Gdyby była to prawda, to w Ameryce ważną rolę odgrywałby pierwiastek rdzenny, czyli północnoamerykańscy Indianie, czyli czerwonoskórzy. Indianie byli dumną rasą, posiadającą swój styl, swoją godność, swoją percepcję i religijność. Jeden tradycjonalistyczny autor, Frithjof Schuon pisał, że w ich bycie jest obecny „orli” pierwiastek solarny. Gdyby właściwy Indianom duchw jego najlepszych przejawach, na właściwym poziomie pozostawił swój ślad na materii, rzuconej do amerykańskiego tygla, jakość cywilizacji amerykańskiej byłaby o wiele wyższa.

Jeżeli wykluczyć pierwiastek protestancko-purytański (który z kolei z powodu fetyszyzacji Starego Testamentu mocno się

zażydził), to właśnie pierwiastek murzyński z całą swoją prymitywnością nadał ton głównym aspektom psychiki amerykańskiej. Charakterystyczne, że jak w Ameryce mówi się o folklorze, to z reguły ma się na myśli Murzynów, jakby byli ludnością rdzenną kraju. W USA za klasyczną operę, inspirowaną przez „folklor amerykański”, jest uważana „Porgy and Bess” żydowskiego kompozytora George’a Gershwina, w której bohaterami są sami czarni. Ten sam kompozytor mówił, że w celu lepszego zrozumienia pisanej przez siebie historii, spędził jakiś czas wśród jankeskich Murzynów.

Jeszcze bardziej widać te wpływy w amerykańskiej lekkiej muzyce tanecznej. Ma rację Fitzgerald, kiedy twierdzi, że z pewnego punktu widzenia cywilizację amerykańską można uznać za cywilizację jazzu, czyli murzyńskich muzyki i tańca. W wyniku procesów regresji i prymitywizacji wyjątkowe „wybiórcze powinowactwo” doprowadziło Amerykę wprost do Murzynów. Wydawałoby się, że skoro Amerykanie potrzebują naturalnej alternatywy dla bezdusznej mechanicznej cywilizacji materialnej współczesności, w poszukiwaniu dziwacznych rytmów i form mogliby się zwrócić do bogatego dziedzictwa muzycznego ludów europejskich. Jak już pisaliśmy w innym miejscu, mogliby pożyczyć rytmy taneczne Europy Południowo-Wschodniej, w których obecny jest wyraźny pierwiastek dionizyjski. Ameryka jednak wybrała zamiast tego Murzynów, i stopniowa ta zaraza dotknęła resztę krajów.

Pierwiastek murzyński w psychice Amerykańskiej został odnotowany przez psychoanalityka Carla Junga. Warto zacytować niektóre jego obserwacje: „W Amerykanach najbardziej przeraża mnie ich olbrzymia podatność na wpływy murzyńskie. Mam na myśli wpływy psychologiczne, bo nie chcę mówić o kwestiach mieszania się ras. O amerykańskiej emocjonalności można doskonale się przekonać po lekturze dodatków do gazet amerykańskich, dedykowanych tzw. plotkom salonowym. Ten niezrównany sposób śmiać się, śmieć się jak Roosevelt, w swojej formie pierwotnej jest właściwa Murzynom amerykańskim.

Ten charakterystyczny chód, roztargniony, z poruszeniem udami, który tak często możemy obserwować u Amerykanów, też została zapożyczona od Murzynów. Muzyka amerykańska czerpie swoje inspiracje głównie od Murzynów. Tańce amerykańskie są tańcami murzyńskimi. Ekspresja religijna w takich zjawiskach jak masowa ewangelizacja, Holy-Roller i inne patologiczne zwyczaje amerykańskie w większości są zrodzone przez wpływy murzyńskie. Ogólnie żywy temperament, który przejawia się nie tylko w trakcie meczów baseballu, ale mi. i w sposobie wyrażania myśli – nieustanny słowotok, z którego słyną amerykańskie gazety, jest wymownym przykładem. Bez wątpienia, nie ma to nic wspólnego z ich przodkami pochodzenia germańskiego, ale przypomina obsceniczną paplaninę Murzyna. Prawie zupełny brak życia prywatnego i wszechogarniające życie zbiorowe Ameryki przypomina prymitywne życie w szałasach, w których panuje kompletne pomieszanie wszystkich członków plemienia”.

Kontynuując powyższe rozważania, Jung w końcu zadaje pytanie, czy da się nadal uważać jankesów za Europejczyków.

Brutalność, bez wątpienia będąca jedną z charakterystycznych cech Amerykanów, również niesie na sobie ślady wpływu murzyńskiego. W te chwalebne dni, które Eisenhower nie wstydził się nazwać „krucjatę na Europę”, na początku okupacji dało się obserwować typowe przejawy tej brutalności; mało tego, często „biały” Amerykanin w tym planie posuwał się o wiele dalej, niż jego czarny rodak, z którym go często łączył właściwy im infantylizm.

Ogólnie rzecz biorąc, zamięłowanie w okrucieństwie wydaje się być niemal wrodzoną właściwością ogólnej amerykańskiej mentalności. Jak wiadomo, najbardziej brutalny sport, boks, narodził się w Anglii, ale to w USA jego rozwój przybrał najbardziej przewrotny charakter, tam stał się przedmiotem zbiorowego fanatyzmu i w tej formie rozprzestrzenił się na inne kraje. Jednak oprócz uzależnienia od siłowania się na pięści, które przybrało formę brutalnego mordobicia, wystarczy przypomnieć ogromną liczbę filmów i większość popularnej

amerykańskiej literatury detektywistycznej, której głównym wątkiem są ciągłe drobne starcia, które, jak widać, odpowiadają gustom zagranicznych widzów i czytelników, którzy zdają się uważać takie postaci za uosobienie prawdziwej odwagi. Jednocześnie naród amerykański jak stare śmieci wyrzucił europejski zwyczaj rozwiązywania sporów według ściśle ustalonych reguł, bez uciekania się do brutalnej i prymitywnej siły pięści, co jest bliskie tradycyjnemu pojedynkowi. Nie warto nawet podkreślać uderzającego kontrastu między tym amerykańskim obyczajem a ideałem zachowania, który wyróżniał angielskich dżentelmenów, choć ci ostatni były także jednym z elementów, które ukształtowały populację Stanów Zjednoczonych.

Współczesnego człowieka Zachodu, który jest w dużej mierze typem regresywnym, można porównać pod wieloma względami ze skorupiakami – „twardy” na zewnątrz, co w szczególności przejawia się w zachowaniu człowieka interesu, bezwzględnego przedsiębiorcy, organizatora i „miękki” w środku, w sensie galaretowatości wewnętrznej substancji. W jeszcze większym stopniu dotyczy to Amerykanina, ponieważ jest typem zachodnim, w którym wszystkie patologie osiągnęły szczyt. W tym również jest bliski Murzynowi. Niejasny sentymentalizm, banalny patos, szczególnie widoczny w relacjach osobistych, znacznie bardziej zbliżają Amerykanina do czarnoskórego niż do prawdziwie kulturalnego Europejczyka. Spostrzegawczy człowiek może łatwo znaleźć jednoznaczny dowód tego w wielu typowych amerykańskich powieściach i piosenkach, nie mówiąc już o kinie i życiu prywatnym. Erotyzm amerykańskich mężczyzn, zarówno pandemiczny, jak – z technicznego punktu widzenia – prymitywny, jest odrzucany nawet przez amerykańskie dziewczyny i kobiety. Świadczy to o kolejnym zapożyczeniu obyczajów plemion murzyńskich, w których rola, jaką początkowo odgrywały erotyzm i seksualność, często dochodziły do poziomu prawdziwej obsesji, wiązała się właśnie z prymitywizmem; tak więc przedstawiciele ras murzyńskich, w przeciwieństwie do ludzi wschodnich, ludzi starożytnego Zachodu i wielu innych ludów,

nigdy nie znali ars amatoria godnego tego miana. Ceniona dziś atuty seksualne Murzynów są w rzeczywistości niezwykle prymitywne i ilościowe.

Innym aspektem amerykańskiego prymitywizmu jest ich rozumienie „wielkości”. Werner Sombart trafnie zauważył tę cechę, gdy powiedział: *they mistake bigness for greatness*, co można przetłumaczyć następująco: mylą wielkość materialną z prawdziwą wielkością duchową. Należy zauważyć, że ta cecha nie jest wspólna dla wszystkich narodów pozaeuropejskich lub kolorowych. Na przykład na prawdziwym Arabie starej rasy, czerwonoskórym lub rdzennym mieszkańcu Dalekiego Wschodu (oczywiście, z wyjątkiem elementów zeuropeizowanych), wszystko, co ma wielkość czysto zewnętrzną, materialną, ilościową, w tym wszystko, co dotyczy maszyn, technologii i ekonomii, nie robi wielkiego wrażenia. Aby naprawdę to wszystko podziwiać, potrzebna była tak prymitywna i infantylna rasa, jak Murzyni. Bez przesady można stwierdzić, że w głupiej dumie Amerykanów z ich czysto ostentacyjnej „wielkości”, osiągnięciami ich cywilizacji, pobrzmiewa też echo psychicznych predyspozycji murzyńskich.

W tym kontekście można przypomnieć te bez końca powtarzane bzdury, że Amerykanie są rzekomo „młodą rasą”, z czego niejako domyślnie powinien wynikać wniosek, że do nich należy przyszłość. Krótkowzroczne oko może łatwo pomylić cechy, które są naprawdę właściwe młodości z tymi, które są tylko regresywnym infantylizmem. Należy pamiętać również o tradycyjnej koncepcji przewrócenia. Pomimo iluzji, nowe ludy, ze względu na to, że pojawiają się jako ostatnie i są dalej od korzeni niż inne, można jednocześnie uznać je za ludy bardziej upadłe, ludy zachodu słońca. Między innymi ten pogląd ma swoją analogię w świecie organicznym, co tłumaczy paradoksalne podobieństwo osławionych „młodych” narodów – młodych właśnie w sensie ich późniejszego narodzin – z rasami prymitywnymi, które zawsze pozostawały poza ramami wielkiej historii, i wyjaśnia ich pragnienie prymitywizmu, powrotu do prymitywnego

stylu życia. Wskazywaliśmy już na to, gdy mówiliśmy o wyborze dokonanym przez Amerykanów – z racji rzeczywistego powinowactwa wyborczego – na rzecz muzyki murzyńskiej i subtropikalnej; ale to samo zjawisko można zaobserwować w innych sferach współczesnej kultury i sztuki. Na przykład można tu przywołać wysoką ocenę, którą zdobył negritude w środowisku egzystencjalistów, intelektualistów i “postępowych” pisarzy we Francji.

Jednak z tego możemy wywnioskować, że z kolei zarówno Europejczycy, jak i epigoni wyższych cywilizacji pozaeuropejskich, podziwiający Amerykę, głupio i entuzjastycznie amerykanizujący się, wierzący, że w taki sposób nadążają za postępem i udowadniają własną wolność i otwartość, również demonstrowają mentalność ludów prymitywnych i peryferyjnych.

Dotyczy to również społecznej i kulturowej „integracji” Murzynów, która nabiera rozpędu już w samej Europie. Tak więc we Włoszech owa “integracja” jest podstępnie promowana poprzez pokazy importowanych filmów (gdzie czarni wraz z białymi odgrywają społecznie istotne role, takie jak sędziowie, policjanci, prawnicy itp.) oraz telewizję z różnymi programami, w których czarni śpiewacy i tancerze występują razem z białymi, dzięki czemu większość widzów przyzwyczała się do idei mieszania się raz i zatraciła resztki naturalnego zmysłu rasowego. Fanatyzm, wywołana przez krzyczącą, zamazaną górę czarnego ciała o imieniu Ella Fitzgerald podczas jej występu we Włoszech jest zjawiskiem zarówno znamienym, jak i smutnym. Ponadto wiadomo, że najszczerzą pochwałę kultury „Murzynów”, negritude zawdzięczamy jednemu Niemcowi, Janowi Janheinzowi, który w swojej książce „Muntu”, wydanej przez jedno z najstarszych znanych wydawnictw w Niemczech (kraju rasizmu aryjskiego!) i przetłumaczonej na włoski przez wydawnictwo, na którego czele stoi znany lewak Einaudi. Autor tej książki stoczył się do szalonego twierdzenia, że „kultura” murzyńska jest najlepszym narzędziem do podniesienia i

ozdrowienia zachodniej „cywilizacji materialnej”.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą chcemy podkreślić, mówiąc o wybiórczym powinowactwie Amerykanów z Murzynami. Można powiedzieć, że jedynym ruchem w Stanach Zjednoczonych, który dawał kiedyś nadzieję na zbawienie, był ruch nowego pokolenia, który na swój sztandar wybrał coś w rodzaju buntowniczego, anarchistycznego, antykonformistycznego i nihilistycznego egzystencjalizmu – chodzi o tak zwanych beatników, hipisów i inne tego typu ruchy. Jednak jedną z charakterystycznych cech tego ruchu było bratanie się z Murzynami, prawdziwy kult czarnego jazzu, demonstracyjna rozwiązłość i mieszanie się ras, w tym seksualne. Jeden z jego głównych przedstawicieli, Norman Mailer, w swojej słynnej książce postawił nawet znak równości między typowym przedstawicielem tego ruchu a Murzynem, definiując tego pierwszego jako white Negro, czyli „białego Murzyna”. Fausto Gianfranceschi słusznie pisał o tym:

„Sposób, w jaki Mailer opisuje atrakcyjność „kultury” murzyńskiej, skłania do nieco lekceważącego porównania z wpływem, jaki wywarło przesłanie Friedricha Nietzschego na przełomie wieków. Punktem wyjścia jest także pragnienie zniszczenia wszystkiego, co sztywne i konformistyczne oraz pragnienie bezpośredniego kontaktu z egzystencjalną siłą życiową; ale co za wstyd widzieć, jak na piedestał „nadczołowieka” wchodzi Murzyn ze swoim jazzem i orgazmem”.

Jako podsumowanie warto zacytować niezwykle wymowne świadectwo jednego z amerykańskich autorów, Jamesa Burnhama (z jego książki „The struggle for the world”):

„W życiu amerykańskim obecne są cechy niczym nie maskowanego okrucieństwa. Przejawiają się ono zarówno w linczu i gangsterstwie w naszej ojczyźnie, jak i w samozadowoleniu i nadużyciach naszych żołnierzy i turystów, kiedy znajdują się za granicą. Peryferyjność amerykańskiego myślenia wyraża się w całkowitym niezrozumieniu innych narodów i innych kultur. Wielu Amerykanów ma prostacką pogardę dla idei, zwyczajów,

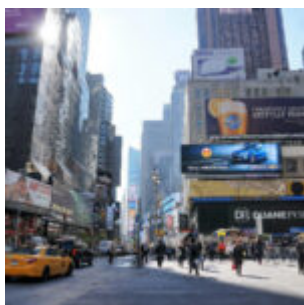
historii, połączoną z dumą ze wszelkich bzdur związanych z postępem materialnym. Kto po wysłuchaniu amerykańskiego radia jest w stanie powstrzymać dreszcz na myśl, że kosztem przetrwania [społeczeństwa niekomunistycznego] musi być amerykanizacja świata?"

Niestety, jesteśmy świadkami tego procesu.

Julius Evola

*Tłumaczenie z jęz. rosyjskiego: **Eugeniusz Onufryjuk***

USA: Liberalni rodzice boją się sprzeciwić lewicowym radykałom



Liberalni rodzice żalą się na rasową ideologię nauczaną w szkołach, ale nie okazują sprzeciwu publicznie w obawie o utratę elitarnego statusu – pisze publicysta „New York Post” Sohrab Ahmari. Publicysta wzywa do poświęceń i brania przykładu z polskiego świętego Maksymiliana Kolbego, zamordowanego przez Niemców w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau.

Ahmari twierdzi, że liberalni rodzice z Manhattanu masowo skarżą się mu – jako jednemu otwartemu konserwatystcie –

na treści, jakie przekazywane są w szkołach ich dzieciom. Chodzi o to, co autor nazywa „woke-izmem” (od ang. „woke” – „przebudzony”), tj. perspektywy patrzenia na świat przez pryzmat społecznych i rasowych nierówności.

„Oni nie chcą, by dzieciom mówiono, że noszą z sobą niezmytą plamę rasowego grzechu. I naprawdę chcieliby, by ich dzieci zgłębiały prawdziwą wiedzę, zamiast być uczone nieustannej medytacji na tematy swojej rasy, płci i seksualności” – [pisze publicysta gazety](#).

Jak dodaje, rodzice ci mimo to godzą się na „rządy” lewicowej ideologii, by nie narażać się i móc „przekazać potomkom swój elitarny status”.

„Jeśli historia XX-wiecznego totalitaryzmu powinna nas czegoś nauczyć, to tego, że radykałowie mogą wziąć górę nad takimi ludźmi, wykorzystując ich chęć życiowego awansu” – uważa komentator, dodając, że wzorem oporu wobec „dzisiejszych totalitarystów” jest polski święty Maksymilian Kolbe, imieniem którego Ahmari nazwał swojego syna.

Według publicysty, poświęcenie franciszkanina własnego życia na rzecz innego więźnia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz było „osiągnięciem szczytu ludzkiej wolności”, choć rozumianej zupełnie inaczej niż współcześnie. Przekonuje, że choć dziś wolność rozumiana jest przez liberałów jako wolność wyboru, w tradycji katolickiej chodzi o „wolność do wybierania dobra”.

Jak twierdzi autor, jeśli współcześni liberałowie wyznający zasadę „żyj i pozwól żyć” nie sięgną do tradycji i „głębszych korzeni”, radykałowie wygrają, bo mają oni wizję, dla której są gotowi do poświęceń.

Według autora, w koncepcji Kolbego wolność oznaczała przede wszystkim samodyscyplinę, podczas gdy „my szukamy samozadowolenia i ‘dobrobytu’, definiowanego zwykle w utylitarnych, materialnych kategoriach”.

„W praktyce, nasza wersja wolności pozostawia nowoczesnych ludzi skonfundowanych – każde pokolenie musi ponownie wymyślić moralność – i chwiejących się wobec ideologicznych wiatrów” – twierdzi Ahmari.

Jak dodaje, polski święty pokazał, że osoba, która posiada kręgosłup moralny, wie, skąd pochodzi i dokąd zmierza, nie ugnie się łatwo i jest zdolna do poświęceń, „nawet do śmierci”.

29 lipca 1941 roku podczas apelu w niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym Auschwitz franciszkanin Maksymilian Kolbe zgłosił się, by dobrowolnie oddać życie za współwięźnia Franciszka Gajowniczka, jednego z dziesięciu skazanych na śmierć głodową w odwecie za ucieczkę Polaka. Gajowniczek zaczął jednak rozpaczać. „Jak mi żal mojej żony i dzieci, które osierocę” – miał powiedzieć. Usłyszał to ojciec Maksymilian i wystąpił przed szereg, przed zastępcą komendanta obozu Fritzschem.

„Czego chce ta polska świnia?” – zapytał wówczas Niemiec. „Jestem polskim księdzem katolickim, jestem stary, chcę umrzeć za tego, który ma żonę i dzieci” – odpowiedział franciszkanin, wskazując na Franciszka Gajowniczka. Esesman zgodził się. Ojciec rodziny wrócił do szeregu, a jego miejsce zajął franciszkanin.

Ostatecznie św. Maksymilian Kolbe zmarł w bunkrze głodowym 14 sierpnia 1941 roku. Został dobity przez niemieckiego więźnia-kryminalistę Hansa Bocka, który wstrzyknął mu zabójczy fenol.

Kilka tygodni przed śmiercią Maksymilian powiedział do współwięźnia Józefa Stemlera: „Nienawiść nie jest siłą twórczą. Siłą twórczą jest miłość”.

Źródło: PAP.